15. NUMER. LIPIEC 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Osobliwe echo.

Niemiecki i przez Niemca napisany wiersz, który by sławił czyny polskiego oręża pod Grunwaldem i zwycięstwo Jagiełły, wydaje się w czasach dzisiejszych wprost dziką niemożliwością. W szowinistycznej orgji, zwłaszcza po stronie niemieckiej, już nie o życzliwej przychylności, ale nawet o objektywnem omawianiu spraw polskich nie ma wcale mowy. Obecna rocznica grunwaldzką pogłębiła jeszcze poczucie nieubłaganej nienawiści, a to przeciwieństwo i świadomość, że przeciwko sobie stoją dwa światy, równie są dziś jaskrawe, jak przed laty pięciuset.

Dlatego też jako największą osobliwość podajemy fakt, że był w Niemczech człowiek, był w literaturze niemieckiej pisarz, który wiekopomnej chwili zwycięstwa grunwaldzkiego poświęcił entuzjastyczny wiersz i wiersz ten w bardzo poważnem czasopiśmie niemieckiem przed laty spełna dwudziestu pięciu opublikował.

Niemniej i sama osobistość poety, ze względu na stanowisko społeczne, zasługuje na specjalną uwagę. Juliusz Lothar Karnauer był rotmistrzem cesarskiej gwardji przybocznej i wielkim przyjacielem Polaków. Człowiek bardzo inteligentny i wykształcony pracował wiele naukowo i zdaje się lektura dziejów Polski usposobiła go tak przychylnie dla naszego narodu.

W r. 1882 pojawił się w wiedeńskiem czasopiśmie literacko-historycznem „*Dioskuren*» na stronicy 105 wiersz w formie rycerskiej ballady o zwycięstwie grunwaldzkiem. Autor opisuje jak Zakon w zemście niepowściągnionej wysłał tłumy zbrojne, gdyby krwiożercze sępy przeciwko Polsce i jak ich siła, ani męstwo nie uchroniło od walecznych ciosów polskich. W dalszym ciągu jest opis ataku Dypolda Kikeryca na Władysława Jagiełłę, który wojowników swych silnym zachęcał głosem. Lecz Oleśnicki w Dypolda serce dzidą wprost zamierzył i jednem pchnięciem zabił Krzyżaka. W nagrodę bohaterskiego czynu król odpasał miecz od swego boku i wręczył swemu wybawcy, lecz młodzian oświadczył skromnie, że niechce królom służyć, ale Bogu i w przyszłości poświęcił się stanowi duchownemu.

Taką jest krótka treść ballady. Nie odznacza się ona wielkimi zaletami poetyckiemi, ale zawsze tak ze względu na treść swoją, jak i osobę autora godzi się ją przypomnieć w obecnym roku rocznicy grunwaldzkiej.

Ballada podpisana pseudonimem „Juliusz Lothar“ znana jest już w naszej literaturze. W roku 1885 tłumaczył ją na polskie Gustaw Kohn, wydawca roczników samborskich.

Karta z niedawnej przeszłości.

(Dokończenie).

Te parę lat, które wolniej pozwoliły odetchnąć Litwinom, skupiły ich czynność i rozbudziły myśl ku lepszej przyszłości. Obywatele ziemscy ogromnie chętnie podjęli myśl zniesienia poddaństwa, lecz równocześnie zażądali także zmian innych, jak: wykładowego języka polskiego w szkołach, otwarcia uniwersytetu w Wilnie, powrotu do litewskiego statutu; w społecznych zaś stosunkach oddania w ich ręce sprawy włościańskiej. Wszystkie te żądania doznały kategorycznej odmowy. Tu i ówdzie zaczęły się wznawiać pewne represje w stosunkach kościelnych. Wszystko to otworzyło oczy najgorętszym entuzjastom. Kiedy we dwa lata po pierwszej bytności car zamierzał odwiedzić rozpłomieniające się już Wilno, generał-gubernator Nazimow widział się zmuszonym donieść władcy o stanie usposobienia, oraz o odmowie obywatelstwa w przyjęciu uroczystem monarchy. Car upozorować musiał swą wizytę jedynie przeglądem wojsk, przytem wzbronił wszelkich uroczystości. Oczywiście nic innego postanowić już nie mógł.

Dalsze opowiadanie Bieleckiego dotyczy ruchu, jaki ogarniać zaczął kraj cały, a z drugiej strony rozbudzonej czujności władz rządowych, które tropić rozpoczynają tak objawy wrzenia gorętszego, jak i spokojny rozwój spraw społecznych, na które dotąd baczności rząd nie zwracał.

W tym ostatnim względzie ciekawem jest zajście z towarzystwami trzeźwości. Zasługą du-

chowieństwa i niemal wyłącznie jego pracą utworzone zostały i rozwijały się szeroko te stowarzyszenia.

„W obrębie Wileńskiego generał-gubernatorstwa — pisze Bielecki — władze rządowe nie prześladowały nigdy towarzystw trzeźwości, pozostawiając księżom zupełną swobodę działania; aż wreszcie nader znaczne obniżenie dochodów od napojów spirytusowych, zwłaszcza z gubernji kowieńskiej, zwróciło uwagę rządu na te stowarzyszenia. Wtedy minister spraw wewnętrznych wydał osobny cyrkularz 22 marca 1859 roku orzekający, iż rząd zawsze chętnie pomagać będzie w zaprowadzaniu wśród ludu trzeźwości, nie może wszakże dozwolić na to, aby rzymsko-katolickie duchowieństwo samowolnie zawiązywało towarzystwa trzeźwości, tworzyło dla nich ustawy i kierowało ich czynnością poza wiedzą i kontrolą rządu; jak również, aby przemocą zatrzymywało członków, którzy pragnęliby wystąpić ze stowarzyszenia. Opierając się na wymienionych wywodach, minister spraw wewnętrznych poleca gubernatorom nie dozwalać na dalsze tworzenie się rzeczonych towarzystw, oraz baczyć pilnie, aby duchowieństwo łacińskie nakłaniając lud do wyrzekania się pijaństwa i innych występków, nie uciekało się do przymusu lub innych środków nie odpowiednich ich obowiązkom i duchowi religji“.

Okazuje się wszakże, że duchowieństwo na cyrkularz nie zwraca uwagi i dalej czyni swoje. Owszem, cyrkularz raczej posłużył do tego — narzeka Bielecki — aby ludność zniechęcić do rządu. Przy końcu 1859 r. jedynie w djecezji wileńskiej było 500.000 członków towarzystw trzeźwości. Biskup Telszewski wbrew cyrkularzowi, jak również interpretacji generał-gubernatora rozwija nadal i zdwaja gorliwość związków.

Utyskuje też Bielecki na urząd „pośredników“ (komisarzy włościańskich). Rozjemcy ci wybierani byli przez szlachtę i jak utrzymuje Bielecki stali się w prędkim czasie narzędziem w ręku swoich wyborców. Przy utworzeniu tego urzędu rząd miał na myśli zespolić ściślej włościaństwo z rządem, a „pośrednicy“ działają na rzecz szlachty, ludu i sprawy narodowej. Dla nich to specjalnie został wydany w Królestwie i następnie w tysiącach egzemplarzy rozrzucony po Litwie „Katechizm“, odezwa, według której większość „pośredników“, jak zapewnia Bielecki kierowała się w swem postępowaniu. Jako rezultat tej odezwy zaprowadza się na Litwie, najliczniej w gubernji kowieńskiej, język polski w urzędowaniu, protokołach i księgach gminy, ilość szkółek wiejskich wzrasta szybko; otwierają je bez pytania, nawet bez pozwolenia władzy i szkółki te mają język wykładowy polski.

Niektórzy z obywateli wiejskich, sami „pośrednicy“, nawet zaczynają formować z włościan oddziały wojska narodowego. Przez granicę przemyca się broń w większej ilości, rosyjskiemu ministrowi spraw wewnętrznych ukazują z Berlina, że główny skład broni przemycanej znajduje się Grodzieńskiem.

Nie skrystalizowane jeszcze, ale już bardzo wyraźne, zbliża się zatem zbrojne powstanie. Z Warszawy płyną wciąż wieści, które elektryzują ludność na Litwie. Pojawiają się pierwsi zwiastuny-budziciele: młodzież z uniwersytetów zagranicznych i rosyjskich, także grupa Polaków inżynierów z Francji przybyła dla budowy dróg żelaznych. Nadbiega rok 61. W Warszawie padły pierwsze strzały — pogrzeb pięciu poległych — arcybiskup Fijałkowski zarządza narodową żałobę. Wypadki żywem echem odbijają się na Litwie. Zapoczątkowane w Wilnie, po wszystkich okolicach obchodzą się żałobne nabożeństwa przy zbiegu tłumów po kościołach brzmią hymny narodowe, Litwa przywdziała żałobę.

Historyk Bielecki z bezsilnem biadaniem zapisuje rozwijające się wypadki. Ani jego umysł, ani jego oko nie są wstanie pochwycić właściwych przyczyn ruchu. Obwinia Nazimowa o zbytnią powolność rządów, ubolewa nad małą sprawnością urzędników Rosjan, a przedewszystkiem nad niedostateczną ilością policjantów i żandarmów. Główną zaś pobudkę ruchu widzi w rzekomem niezadowoleniu szlachty z nadania ziemi włościanom. Ruch cały jest poprostu aktem zemsty na rządzie. W dziwny sposób punkt ten widzenia kojarzy się z faktami wspólnego działania rzekomych krzywdzicieli i niedoszłych ofiar dziedziców i włościan. Ale nad tymi faktami, które Bielecki sam wyraźnie zaznacza, przechodzi do porządku, nie mozoląc sobie głowy nad ich znaczeniem. Natomiast z całą zajadłością uderza na duchowieństwo. I pod tym względem spostrzegawczość go nie myli. W przebiegu rozwijającego się ruchu silnie zaznacza się działalność duchowieństwa „Po całym kraju — pisze Bielecki — rozbrzmiewają namiętne kazania“. Przytacza gorące wezwania do ludu, śmiałe zarzuty stawiane rządowi o ucisk religii, o bezczeszczenie kościołów. Podobne kazania wygłasza Ksiądz Szulc w Ostrobramskim kościele wobec całej kapituły i ogromnych tłumów; ksiądz Łukaszewicz w katedrze. W Kownie, w Mińsku, w Grodnie na Żmudzi duchowieństwo staje w pierwszych szeregach narodowej roboty.

Kraj cały wrzeć zaczyna na podobieństwo gotującego się do wybuchu wulkanu. Zjawia się ogromne mnóstwo pism, broszur, odezw importowanych z zagranicy, które niewiadome ręce rozrzucają wszędy: po drogach, po mieszkaniach, po miejscach publicznych. Kraj niemi jest zasypany; proklamacja Mierosławskiego i Wysockiego, zawierająca w sobie cały niejako plan działania zajmuje naczelne miejsce wśród tego piśmiennictwa.

Na tym obrazie kończy Bielecki swój zarys epoki, bezpośredno poprzedzającej powstanie. Część druga podaje materjał faktyczny, urzędowy.

II.

Są to przeważnie donosy żandarmskie i policyjne, lecz także znajdują się zapiski, projekty, korespondencja generał-gubernatora z ministrem spraw wewnętrznych, rzut oka na przebieg wypadków, złożony w temże ministerstwie — rzecz bardzo dobra i wiele innych. Nie brak nawet dokumentów polskich, w tłómaczeniu — słowem cały rzeczowy materjał rządowy dotyczący pierwszych ruchów powstania 63 roku.

W korespondencjach między gubernatorami a generał-gubernatorem i szefem żandarmów znajdują się niemal wyłącznie albo dowody dotyczące osób poszczególnych lub wypadków, albo instrukcje co do stosowania kar (wysyłka na Sybir lub usuwanie z granic państwa) jako też postój żołnierza, przesuwanie oddziałów kozackich, ograniczenia wolnościowe, zakazy broni, ubiorów, żałoby narodowej, a przedewszystkiem demonstracji narodowych i religijnych oraz nakazy ich stłumienia. Rzadziej spotykają się i to bardzo ogólnikowe wzkazówki co do ogólnego traktowania sprawy, lub ogólne obrazy ruchu danych miejscowości; nie spostrzedz też żadnego planu działania ze strony władz, zwłaszcza miejscowych — a co więcej, żadnego nawet zrozumienia rzeczy. Najważniejszy w księdze dział: donosy policji, odznacza się właśnie tem zdumiewającem niezrozumieniem całej sprawy. Zwłaszcza w donosach gubernatorów, zdolnych zdawałoby się rozumować fakt ten jest ciekawym. Podziwiać należy tę zdolność brania zewnętrznych objawów za istotę rzeczy, albo notowania drobniejszych zjawisk, a przeoczania tego, co w całym ruchu było zasadniczem.

Według tych raportów ruch tworzą: inżynierowie Francuzi, garstka warchołów — włóczęgów, młodzież bezmyślna, jeśli rzemieślnicy — to pijani, jeśli urzędnicy — to ogłupieni chwilowo przez machinacje warszawskie. Lecz główni winowajcy to księża i główny teren — kościół. Pojąć nie mogą tych śpiewów po kościołach, tych „buntowniczych" hymnów, a przedewszystkiem „bezcelowej włóczęgi" po ulicy ludzi pracujących, odbiegłych od biur i warsztatów. Uwagi nad ludnością wiejską co chwila różnią się z faktami; ci szpiegi — donosiciele nawet nie podejrzywają, jak prąd szedł głęboko, jak dość było rzucić zarzewie, aby pożar wybuchnął. Ogromne kilkusetkrotne i kilkutysiączne zbiorowiska ludu i procesje nic im nie mówią, tak jak podobne wypadki, gdy cała ludność wioski okrywa wobec dochodzenia policji działalność narodową jakiegoś działacza, gdy nawet zdarzają się tacy, co heroicznie zasłaniają własną osobistością ukrywającego się działacza i ułatwiają mu ucieczkę. Wszystko to są fakty, które się notuje, nie wyciągając z nich żadnych wniosków. W przemycaniu pism i książek z zagranicy włościanie biorą udział szeroki. Bieleckij opowiada o zegarmistrzu Bujkowiczu, który po 31 roku przeniósł się z rodzinnej Żmudzi do Memla. Na ręce jego masami szły transporty druków zabronionych z zagranicy. Bujkowicz zorganizował cały sztab włościan i włościanek, którzy znajomemi sobie drożynami przemycali przesyłki z zagranicy, a następnie roznosili je po dworach wiejskich. Drugim takim dostawcą nielegalnej literatury był kupiec Szulc w Memlu. Także w stosunkach dworów z włością donosy widzą jedynie wściekłość właścicieli, którym się własność z rąk usuwa. Zaledwo ów jeden dokument złożony w ministerstwie spraw wewnętrznych potwierdza silnie rozwiniętą działalność dworów w dziedzinie oświaty ludowej, unaradawiania włościan i naogół bratania się z ludem — zresztą wszystkie donosy, nawet stwierdzając odnośne wypadki, nic w nich nie widzą.

W tej księdze donosów — w liczbie 234 — jak z oparzelisk mętnego bagniska, niby potężny ptak rozwijający skrzydła do wysokiego lotu podnosi się rok 63. Jeszcze go nie widać, jeszcze się nie wzbił w blaski ognia i krwi, ale już coraz wyraźniej słychać szelest jego silnych piór. Niemal dzień za dniem, tydzień za tygodniem rozwija się w księdze bieg niezapomianych zdarzeń.

Działalność, rzecz prosta, koncentruje się w stolicy. W donosach jest to zwykle tłum „pijanych", którzy pod przewodnictwem jakiegoś „zawadjaki warchoła" wprost od progów świątyni — Ostrejbramy, katedry, Franciszkanów — dąży za miasto, aby w laskach Zakretu lub u mogiły Konarskiego wysłuchać „podburzającej" przemowy któregoś ze swych przewodników.

Tłumy ludu płyną na przedmieścia, aby u stóp cudownego wzgórza Śnipiszek bić w niebo błagalnymi hymnami — tłumy ludu dążą na zamiejskie gościńce w oczekiwaniu mającej stamtąd nadejść pielgrzymki rodaków z Królestwa. Lecz i na prowincji to samo: po wsiach, w miasteczkach organizują się olbrzymie procesje, lud bieży licznie do świątyni słuchać gorących przemówień kapłana. A imponującym ponad wszystko jest obchód narodowy w Horodle, gdzie zbiegło się ludu około 20 tysięcy i po wysłuchaniu mszy polowej na wzgórzu za miastem usypano pamiątkowy kopiec i spisano akt żądań zjednoczonego narodu odnowienia unji i podźwignięcia kraju w granicach przedrozbiorowych. Tak w Wilnie jak i na prowincji młodzież zbiera się, krząta, zawiązuje w stowarzyszenia. Praca nad ludem kipieć zaczyna. A wszędzie rewizje znajdują mnóstwo pism i broszur importowanych z zagranicy. Lecz także od szpiegów roić się zaczyna. Ofiarą donosów stają się przeważnie księża, młodzież uniwersytecka i szkolna, zarówno i kobiety. Są nazwiska, które powtarzają się niejednokrotnie, stając się przedmiotem szczególnej uwagi policji. Widać tu całą energję, wytrwałość i niepamiętną na siebie odwagę działaczy.

W tych drukiem uwiecznionych listach — donosach, w tych słowach ciemnych, prostaczych, żandarmskich służalców prześwieca cała wielkość dziejowej chwili i ten ruch narodu, ten

poryw najszlachetniejszych dusz bije z kart żołdackich, jak hymn. Zmartwychstają świetliste powstacie, których męczeńskie głowy dawno darń mogilna przykryła; i w krasie młodego czynu poswtają ci, — żyjący, — których los po krańcach dalekich rozrzucił. Ileż tu znajomych postaci, ile imion znanych i czczonych!

Raz jeszcze z za ciemni grobu błyska nam przed oczyma bohaterska postać Bronisława Szwarcego; nie ten wprawdzie, w srebrze lat wiekowych, jakiegośmy wszyscy znali we Lwowie, ale ów młody z 63 roku zapaleniec, jak zwykle pełen nieustraszonej odwagi i jakiejś junackiej nonszalancji niebezpieczeństw, z myślą niezachwianie utkwioną w cel swój jasny.

„Przemieszkujący w Białymstoku, a od roku 1860 należący do Towarzystwa budowy kolej żelaznej, architekt Bronisław Szwarce — brzmią słowa listu żandarmskiego pułkownika — pierwej zamieszkały w Warszawie jako cudzoziemiec, syn polskiego wychodźcy, znajduje się pod tajnym nadzorem. Brał tu udział w śpiewaniu hymnów, których treść, sam przyznaje, że jest rewolucyjną; nosi zwykle strój garibaldzki, z którego, jak również ze swej młodości — ma lat 25, jest wysokiego wzrostu, ma twarz stanowczą, ozdobioną czarnymi wąsami i brodą — podoba się, jak mówią, niektórym z tutejszych patrjotek. Objaśniono mnie, że śpiewał i nosił kostjum, nic wiedząc, że jest to zabronionem, powiedział wprawdzie, że postara się nadal tego nie robić, wszakże obietnicy dać nie chciał, przytem doszło do mojej wiadomości, że i on również jak Piątkowski, usiłował rozbudzić ducha patrjotyzmu i donosił o wszystkiem, co się dzieje w Warszawie. Wszystko to wskazuje na konieczność usunięcia Szwarcego z Białegostoku“.

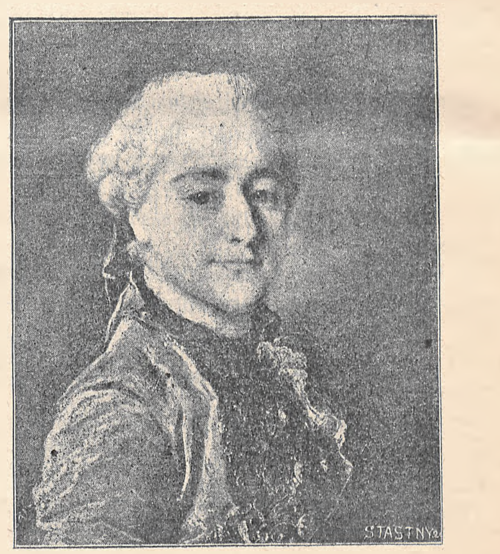
Znajdują się też kilkakrotne donosy o Bolesławie Limanowskim, byłym akademiku dorpackiego uniwersytetu, który świeżo przed wypadkami 61. roku przybywa do Wilna z bratem Józefem. W mieszkaniu ich schodzą się akademicy i inna młodzież, rozprawiając o „biedach ostatnich dni“. W ich to kółku powstaje pierwsza myśl odśpiewania „buntowniczego hymnu“ w kościele katedralnym. W donosie tym znajdujemy całe grono młodzieży uniwersyteckiej; wśród niej spotykamy imię Benedykta Dybowskiego, kończącego właśnie studja w Dorpacie i gotującego się do dysertacji na stopień doktora.

Ze streszczonych zeznań badanej wówczas młodzieży uderzają wprost zeznania Limanowskiego i Dybowskiego, tak są ostrożne względem drugich, a tak pełne godności i prostoty. Generał-gubernator, przysyłając sprawę tę szefowi żandarmów podaje winnych do kary: Bol. Limanowskiemu wyznacza zsyłkę do rot aresztanckich w Orenburgu, jako prostego żołnierza, z pozbawieniem prawa awansu, B. Dybowskiemu — po napisaniu dysertacji urzędowanie poza granicami „Zachodniego kraju“.

Księga Bieleckiego — tom pierwszy — zamyka się na odwołaniu Nazimowa do Petersburga z zajmowanego przezeń stanowiska generał-gubernatora. „Towarzystwo miłośników rosyjskiej wiedzy historycznej“, które wydawnictwo to podjęło, nie zaniecha zapewne dalszego ciągu tej pracy. Ukażą się rządy Murawiewa. Całość stanowić będzie wielce poważny przyczynek do historji 63. roku na Litwie. *Wanda Dulecka.*

Portret Stanisława Augusta przez Ludwika Tocqué.

Historja często lubi płatać figle ironiczne. Nieraz skąpi nam wizerunku postaci ze wszech miar narodowi drogiej, innym znowu razem przechowuje obfitą ikonografję drugorzędnej figury dziejowej. Rzut oka na ikonografję królów pol-



Stanisław August
(według portretu Ludwika Tocqué).

skich przekonywa, że najmniej z nich sławny, Stanisław August, przekazał nam największą ilość wizerunków własnych. Wielki miłośnik sztuki, wielce dbały o zaszczepienie jej na twardy ówczas grunt polski — a w tym kierunku zawsze na gorącą wdzięczność potomków liczyć może — Poniatowski przez całe życie gromadził wokoło siebie artystów różnego rodzaju, przeważnie malarzy i nie przestawał im do portretów pozować.

Wśród tych licznych podobizn ostatniego króla polskiego najmniej może znane jest malowidło francuskiego artysty, Ludwika Tocqué, choć pod względem artystycznym i psychologicznym

niewątpliwie do najbardziej cennych zaliczonem być powinno. Przedstawia Poniatowskiego, jeszcze przed elekcją, bo w r. 1758, jako młodego, pięknego i eleganckiego dworzanina w szarym, srebrem haftowanym fraku, z upudrowaną głową. Twarz, prawie wprost na widza zwrócona, ujmuje finezją, wyrazem pełnym życia oraz miękkiem jak aksamit, powłóczystem spojrzeniem. Widzimy przed sobą wytwornego epikurejczyka z pewnym nawet odcieniem kobiecości, w którym trudno dopatrzyć się charakterystycznych rysów męża stanu.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa obraz ten wykonany został w Petersburgu podczas pobytu tam Stanisława Poniatowskiego przy dworze carowej Elżbiety, córki wielkiego Piotra. Płótno, małych rozmiarów (wys. 50 cm., szer. 42 cm.), nosi w prawym kącie podpis: L. Tocqué 1758. W poprzednim jeszcze roku Ludwik Tocqué (1696—1772), członek królewskiej akademii sztuk pięknych w Paryżu, przybył do dworu petersburskiego, gdzie w przeciągu dwóch lat malował portrety carowej i wybitniejszych postaci jej otoczenia. Wtedy pewnie i młody poseł polski przy dworze Elżbiety pozował francuskiemu mistrzowi.

Na tle świetnej sztuki francuskiej XVIII wieku Tocqué nie zajmuje stanowiska pierwszorzędnego i jako portrecista nie cieszy się zbyt wielkim rozgłosem. Lecz w tym zakresie odznaczał się zaletami, które rzadko posiadał bardziej głośny teść jego, Nattier, a które w dobie obecnej czynią dla nas artystę szczególnie pociągającym. Podobizny Tocquégo wyróżniają się wśród wielu współczesnych malowideł jego kolegów brakiem wszelkiej dekoracyjności, owych alegorji mitologicznych i fantastycznych udrapowań, tak modnych dla portretów reprezentacyjnych epoki. Odznaczają się natomiast prostotą, psychologicznem ujęciem istoty portretowanych osób, zupełną naturalnością pozy. Pod tym względem piękny portret Stanisława Poniatowskiego, pochodzący w dodatku z okresu, gdy i koloryt artysty stał się bardziej miękkim, należy do dzieł najbardziej udatnych Tocquégo. Na odbytej niedawno w Paryżu licytacji zbiorów artystycznych po zgasłym hr. Andrzeju Mniszchu portret nasz też zwrócił na siebie powszechną uwagę miłośników i znawców sztuki wśród całej grupy portretów polskich. Z tych najlepsze nawet, jak dużych rozmiarów wizerunki Bacciarelliego, szwedzkich malarzów Aleksandra Roslina i Piotra Krafíta, Rosjanina Lewickiego i t. d., nie osiągnęły cen, przewyższających kwotę kilkunastu tysięcy franków. Jedynie malowidło Tocquégo, na pierwszy wygląd najskromniejsze, doszło do pokaźnej bardzo dla dzieła tego artysty sumy 20.500 franków. Z żalem wielkim zaznaczyć wypada, że się nie dostało w ręce polskie; nabył je Francuz, p. Hoche.

W ikonografji Stanisława Augusta, jeśli się kiedyś doczekamy jej wyczerpującego opracowania, niewielkiemu portretowi Ludwika Tocqué z r. 1758 przypadnie jedno z miejsc najpoczestniejszych. *Paweł Ettinger.*

Czem zająć się może młodzież szkolna w czasie ferji wakacyjnych na wsi?

Ferje wakacyjne młodzieży szkół średnich trwają już dwa tygodnie, a nie długo zaczną się wywczasy wakacyjne także i dla młodzieży uniwersyteckiej, która wnet opuści miasto i przeniesie się na wieś na wilegiaturę. Bardzo nie wiele tylko między nimi znajdzie się takich, którzy potrafią połączyć utile cum dulci i zechcą wziąć się do pracy nie ciężkiej, a tak pożądanej dla rozwoju nauki. Mówimy mianowicie o zbieraniu wszelkich wiadomości o najrozmaitszych zabytkach sztuki i kultury dawnych mieszkańców naszego kraju. Niema wprost wsi i miasteczka, gdzie nie znalazłoby się coś ciekawego dla badacza historji kultury i sztuki. W każdej miejscowości naszego kraju znajduje się kościół lub cerkiew, murowana albo drewniana, zasługująca na uwagę czy to dla swego wieku czy też jako okaz twórczości ludowej. Zwłaszcza drewniane kościoły i cerkwie, starożytne płyty grobowe i pomniki, ruiny zamków, dworki i wogóle zabytki dawnego budownictwa szczególną przedstawiają wartość dla badacza kultury kraju. A ileż to zabytków podobnych, częstokroć zupełnie nieznanych uczonym, znajduje się po naszych wsiach i miasteczkach.

Oddawna pracują poszczególni ludzie nad zebraniem i opisaniem wszystkich zabytków i wogóle rzeczy ciekawych w całym kraju, ale przedsięwzięcie takie wymaga zbyt wiele trudu, przechodzącego siły jednego pracownika. Znakomitem zaś ułżeniem byłoby udzielenie pomocy, w formie nadsyłanych rysunków i zdjęć fotograficznych z wymienionych zabytków. Sztukę fotograficzną z amatorstwa uprawia obecnie bardzo wiele uczniów i akademików, u których dokonane zdjęcia najczęściej spoczywają w szufladach i pudełkach, zarzucone bez zainteresowania. Zdjęć fotograficznych podobnych przedmiotów dokonują amatorowie, powodowani przeważnie pięknym wyglądem ruin lub malowniczością wiejskiego kościółka czy cerkwi, nie troszcząc się bynajmniej o wartość ich dla nauki. Wskazanemby więc było fotografowanie podobnych okazów sztuki i architektury specjalnie w celu nadsyłania ich ludziom, zajmującym się tem fachowo. Fotografje takie, nie nalepiane na kartonie, opatrzyć należy z przeciwnej strony krótkim opisem zabytku z dokładnem podaniem nazwy miejscowości i powiatu, a ewentualnie dołączyć także szczegóły z historji i podań, znanych w okolicy.

Ponieważ najczęściej fotograficzne zdjęcia są nie wielkich rozmiarów, więc dobrzeby było uskutecznić odfotografowanie także ciekawszych szczegółów jak kamiennych obramień okiennych, szyb i napisów na ścianach, szczegółów wiązania w zabytkach budownictwa drewnianego i wogóle rzeczy z jakiegokolwiek względu ciekawszych. Także i takie zdjęcia, opatrzyć należy z przeciwnej strony krótkim opisem z dokładnem poda-

niem, skąd dany szczegół pochodzi. W braku aparatu pod ręką można również odrysować dany okaz i rysunek taki nie koniecznie artystyczny a byle wierny tylko opisać należy podobnie z ewentualnem podaniem wymiarów, o ile te oczywiście przedstawiać mogą jakąś wartość.

Prócz zdjęć fotograficznych i rysunkowych nie mniej pożądane jest podanie samej tylko chociażby wiadomości o istnieniu jakichkolwiek ciekawszych zabytków w okolicy, przyczem również trzymać się należy podanych powyżej sposobów opisywania. Bardzo zwłaszcza pożądaneby były tego rodzaju wiadomości o zabytkach przedhistorycznych jak mogiłach, wałach, cmentarzyskach, śladach osad i t. p. również z podaniem możliwie najdokładniejszych i wyczerpujących wiadomości.

Dokoła placu św. Ducha.

Cały kwadrat lwowskiej przestrzeni od kościoła jezuickiego po kawiarnię wiedeńską, odwach, ulicę Kilińskiego zmieni, zdaje się, niebawem do gruntu swoją fizjognomię. Spekulanci budowlani już od dawna ostrzą sobie zęby na to dziś najpiękniejsze miejsce w śródmieściu Lwowa, a ostatnio i miasto podobno się namyśla, czy by po wykupnie odwachu nie wystawić tutaj monumentalnego pałacu sztuki.

Tak tedy na miejscu dawnego szpitala św. Ducha nowe się dziś a zdrowe pleni życie Dawne wieki i dawne czasy przypomina jedynie świątobliwa nazwa placu, słabe echo wielowiekowej tradycji, która przylgnęła do tego miejsca całym altruizmem i dobroczynnością lwowskiego mieszczaństwa.

Szpital św. Ducha, wraz z kościołem, który stał na dzisiejszym placu tego imienia był najstarszą instytucją filantropijną starego Lwowa. Powstał równocześnie z samem miastem, jako schronisko dla znużonych życiem, obłożonych chorobą, niezdolnych do pracy i zarobkowania. A że wobec niepewności fortun kupieckich, wobec smutnych horoskopów ścielących się przed starością rzemieślnika, żaden mieszczanin nie mógł być pewien, czy mu życia w owym przytułku dokonać nie przyjdzie, więc za dobrych czasów nie żałował grosza, ani ofiary na uposażenie przytuliska-szpitalu.

Nie było też w dawnych czasach żadnego większego we Lwowie testamentu, który by zapomniał o szpitalu św. Ducha w samem mieście, albo o szpitalu dla trędowatych koło kościoła św. Stanisława w okolicach dzisiejszej ulicy Rzeźnickiej, albo też w czasach późniejszych o istniejącym do dziś schronisku św. Łazarza. Wśród nich szpital św. Ducha pierwsze miejsce zajmował, a uposażony był hojnie i obficie tak w dobra nieruchome, jak i ruchome. Półtora łana gruntu zapisał mu jeszcze za czasów Władysława Jagiełły mieszczanin Piotr Eisenhuttel, a do tej dotacji przybyły później dobra Łuczany, Mohyliszcze i Bołszów, darowane przez Jana Chodorowskiego, a wymienione później na Malechów, dworek na Łyczakowie w miejscu dzisiejszego szpitala wojskowego, ogrody, legaty w gotowiźnie, podarunki niekiedy, jak na szpital, dość osobliwe, w formie... beczek piwa lub miodu.

Ponieważ wielki majątek zawsze chętnych znajdzie zarządców — przeto i o zarząd szpitala św. Ducha bardzo często zajadle wybuchały spory między miastem z jednej, a kapitułą i arcybiskupem ze strony drugiej. Miasto przy corocznej elekcji rajców i ławników wybierało także zarządców, czyli prowizorów szpitalnych, kapituła miała ku tamu także pretensje a tak spór trwał dziesiątkami lat w formie przewlekłych procesów, wybuchając od czasu do czasu prawdziwą burzą namiętności.

Najefektowniejszą scenę na tle zarządu szpitalnego, niepozbawioną nawet dramatycznych momentów, zanotowały akta procesowe z r. 1624.

Poszło o wieś Skniłówek, która również stanowiła własność szpitalną, a którą miasto z rozmaitych powodów postanowiło sprzedać. Z ochotą go kupna stanęli ówczesny biskup sufragan lwowski Tomasz Pirawski i burmistrz dr. Marcin Kampian, który utrzymał się, nawet mimo niższej ceny kupna. Miastu chodziło, ażeby dobra ziemskie nie przechodziły do rąk duchownych, gdyż skutkiem tego wolne one były od ciężarów z danin miejskinh.

Wobec tego sprawa stanęła na ostrzu miecza. Arcybiskup uważając tę sprzedaż za trwonienie majątku szpitalnego zażądał od rady miejskiej, względnie od prowizorów szpitalnych złożenia rachunków. Rada miejska odmówiła stanowczo, wobec czego zagrożono całemu miastu klątwą i interdyktem.

Zwyczajem ówczesnym klątwę wyprzedziło zwykłe trzykrotne napomnienie, *monitorium*, ogłaszane przez trzy niedziele z ambony kościelnej. Gdy w dniach 5 i 12 listopada 1624 wygłoszono to napomnienie, zaniepokoił się cały Lwów, czując jakoby zbliżający się palec gniewu bożego. Czekano też z powszechną trwogą, co będzie następnej niedzieli.

Dnia 19 listopada, po nabożeństwie wyszedł na ambonę Jezuita ks. Maciej i począł czytać trzecie upomnienie do rady miejskiej i całego miasta. Przeczytał zaledwie kilka pierwszych zdań, gdy w kościele powstał groźny pomruk i tumult. Wkroczyła bowiem policja miejska, uzbrojona w cepy i siłą zmusiła kaznodzieję do umilknięcia i zejścia z kazalnicy.

Klątwa padła na miasto samą siłą rzeczy, ale magistrat nie pozwolił jej ogłosić we Lwowie

Odnośnie też edykta arcybiskupie poprzybijano na prowincji, a sprawę wziął w swoje ręce obradujący właśnie sejmik w Sądowej Wiszni, którego pośrednictwo skończyło się żądaniem, aby miasto w sposób upokarzający przeprosiło arcybiskupa. Ostatecznie, klątwa musiała być zniesiona nawet bez przeprosin, bo lud w okolicach podmiejskich tłumnie zaczął przechodzić na obrządek ruski, a po długim procesie uzyskało miasto zarząd szpitala św. Ducha pod pewną tylko kontrolą władz duchownych

Jednym z takich prowizorów szpitalnych był w czasach późniejszych burmistrz-poeta lwowski Józef Bartłomiej Zimorowicz. I właśnie autograf jego znajdujący się w naszych rękach, a do tego zarządu się odnoszący, przypomniał dzieje dzisiejszego placu św. Ducha. Jestto kontrakt dzierżawy młyna na Pełtwi za Wysokim Zamkiem koło Zboisk. Młyn ten został w r. 1655 przez Kozaków spalony, a Zimorowicz puszcza go w długoletnią dzierżawę z obowiązkiem wystawienia budynku na nowo.

Szpital św. Ducha przetrwał aż do końca Rzeczypospolitej. Dopiero rząd austrjacki zniósł go, razem ze szpitalem św. Stanisława, a ich majątek przyłączył do zakładu dla mieszczan i kalek św. Łazarza.

Rudera szpitala i kościoła znikła z powierzchni, zostawiając na pamiątkę tylko plac św. Ducha.

F. J.

Autografy.

Któż nie odczuwał dreszczu wzruszenia wobec własnoręcznego pisma mistrza znakomitego, ducha wielkiego lub wybitnego męża, przed którym czoło schylamy? Któż zostaje obojętnym, gdy z pożółkłego papieru przemawia duch, znikły już przed laty, przed wiekami, przemawia indywidualnie, poufnie, odkrywając cząstkę swego ja, swego charakteru, temperamentu, ba, nawet usposobienia chwilowego? Relikwją staje się taki autograf, ale relikwją osobliwego gatunku, nie wymagającą ślepej wiary, żadnej suggestji, i wolnej od owego piękna prozy, które zawsze leży na sprzęcie, na przedmiocie codziennego użytku, a nie znika w zupełności nawet w aureoli pietyzmu. Jeśli więc chodzi o kult pamiątek po ludziach znakomitych, to zbieranie autografów niewątpliwie należy do odmian najszlachetniejszych tego kultu, który zawsze miał licznych adeptów. W naszej dobie, kiedy kolekcjonerstwo we wszystkich kierunkach coraz szersze przyjmuje rozmiary, znacznie się powiększyła i ilość zbieraczy autografów, o czem, między innemi, świadczy cały szereg specjalnych antykwarjatów na zachodzie oraz nierzadkie specjalne licytacje i wenty autografów w stolicach europejskich.

Mamy właśnie przed sobą świeżo wydany katalog autografów berlińskiego antykwarjusza, p. Karola Ernesta Henrici, obejmujący około 900 numerów. Sądzę, że przeglądanie cen tego katalogu nie pozbawionem będzie ciekawości. Przecież ceny listów autentycznych, na unormowanie których oczywiście wpływa imię autora, objętość i treść autografu, stopień jego rzadkości, wiek i nareszcie wygląd zewnętrzny, w pewnej mierze odzwierciedlają stosunek naszego pokolenia do danego autora i stanowisko, jakie on na horyzoncie naszej zajmuje kultury.

Rzućmy najpierw okiem na gwiazdy pierwszorzędne literatury europejskiej, wśród których w katalogu berlińskim, naturalnie, przeważają niemieckie. Obszerne listy Goethego są do nabycia od 300—400 marek, a nawet bileciki jego oceniane są nie mniej jak po 50—80 marek. Bardziej rzadkie epistoły Schillera dochodzą prawie do 600 marek. Wygórowaną wydaje się cena 350 marek za pismo Henryka v. Kleist, którego dopiero pokolenie obecne umieściło w pierwszym szeregu twórców-poetów, podczas gdy listy Heinego tylko około 150 marek kosztują, a za takąż kwotę ofiarowany jest list fantastycznego Ernesta Teodora Amadeusza Hoffmanna. Pismo Byrona z r. 1820 kosztuje aż 425 marek, Jana Jakóba Russa nawet 500 marek. Przechodząc do pisarzów bardziej współczesnych, ze zdziwieniem zauważamy, że list autora „Dzwona zatopionego“, Gerharda Hauptmanna, co prawda z treści wielce ciekawy, kosztuje aż 60 marek. Taniej są do nabycia pisma własnoręczne Ibsena, Björnsona, Gottfrieda Kellera, Fr. Hebbela, t. j. od 25—55 marek.

W spisie autografów sławnych muzyków pierwsze co do ceny miejsce zajmuje kontrakt Glucka z pewnym wydawcą z r. 1779, za który Henrici żąda nie mniej nie więcej jak 1250 marek. Listy Haydna ofiarowane są po 400—550 marek, Beethovena po 350 marek, Mendelssohna i Schumanna zaś tylko po kilkadziesiąt marek. Zato znowu ceny na listy Ryszarda Wagnera wahają się między 60 a 250 markami, a fotografja autora „Nibelungów“ z własnoręczną dedykacją wymaga od amatora pokaźnego wydatku 300 marek. Listy malarzów naszej doby nie są zbyt drogie: Adolfa Menzela, najwybitniejszego artysty niemieckiego XIX wieku, list bardzo obszerny jest do nabycia za 25 marek. Można wątpić, czy zbiór 40 listów, treści raczej handlowej, głośnego kiedyś a bynajmniej nie wybitnego malarza rosyjskiego W. Wereszczagina, ofiarowany za 180 marek, rychło znajdzie nabywcę.

Na zakończenie przytaczam jeszcze ceny kilku autografów znakomitych mężów stanu. List Wallensteina 160 marek, Marji Teresy z własnoręcznym dopiskiem 80 marek, podpis Napoleona I. na patencie szlacheckim 180 marek i last but not least liścik Bismarka 200 marek.

Katalog Henriciego zawiera parę zaledwie autografów polskich. Po 25 marek są do nabycia listy Zygmunta III i Władysława IV, na których oczywiście tylko podpisy są własnoręczne. List Zygmunta III, datowany z Warszawy 30 lipca 1621 r., pisany był do biskupa trockiego w sprawie obrazu Matki Boskiej w Trokach; pismo zaś Władysława IV, również z Warszawy d. 14 lipca 1632, w języku włoskim, adresowane jest do kardynała de Torres w Rzymie i nosi podpis „Alfonso Vladislao Sigismondo". Prócz tego mamy tu jeszcze list Polki, księżny Wittgenstein, głośnej przyjaciółki Liszta (40 marek), oraz list miłośnika muzyki, hr. T. Tyszkiewicza w Paryżu z r. 1853 (12 marek), tyczący się przebywania R. Wagnera nad Sekwaną.

P. E.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

J. U. Niemcewicz Pamiętniki z r. 1830—1831. Wydał M. A. Kurpiel. (Kraków 1909).

Nie przeceniamy zbytnio znaczeczenia tych pamiętników. Ani nie dają pełnego obrazu atmosfery warszawskiej w czasie wybuchu powstania, ani nie odzwierciedlają opinii o ówczesnych wypadkach koła ludzi, do którego należał Niemcewicz, ani też sądy tu wypowiedziane nie są znowu tak oryginalnie odmienne od sądów skądinąd znanych. Autor siedząc w Warszawie z dnia na dzień lub co parę dni zapisywał szereg wiadomości dla pamięci, posiłkując się informacjami „Kurjera Polskiego", z którego całe ustępy czasem streszcza. Otrzymaliśmy tym sposobem niniejszy dziennik obejmujący r. 1830 i część r. 1831 do d. 11. lipca, który przyszłemu biografowi Niemcewicza ułatwi niewątpliwie określenie stanowiska i poglądów autora w tym czasie, poza tem jednak prócz kilku luźnych drobiazgów nic ważniejszego nie przynosi. Mimo dobrych chęci Niemcewicz nie został historykiem powstania listopadowego.

E. K.

Wł. M. Kozłowski. Historja rewolucji francuskiej. Warszawa 1910. str. 200. Wydawnictwa M. Arcta „Podstawy wykształcenia współczesnego" tom XIII. Cena 75 kop.

Dobrze uczynił autor, iż zaniechał tłumaczenia kompilacyjnej, a przytem zbyt niedokładnej, a nawet w wielu szczegółach fałszywej pracy Belforta Baxa o Rewolucji francuskiej, która szerszym kołom czytelników polskich znana była z lichego przekładu, dokonanego przytem nie z samego oryginału. Literatura polska nie posiada wogóle żadnego przekładu poważniejszego jakiegoś dzieła o rewolucji, a niedawno wydany przekład z języka niemieckiego pracy Wilh. Blosa nie może być uważany za ściśle naukowy. Pracą podobną jest również i rzecz Wł. Kozłowskiego, tem jednak cenna i godna polecenia, iż oparta jest na ogromnej i pomnikowej publikacji jednego z największych i najbystrzejszych historyków rewolucji, sławnego w nauce Aularda, tudzież Hipolita Carnota, syna znanego działacza z czasów wielkich przewrotów. Prócz tego prace Carlyle'a, Sorela i Sybel'a uwzględnił autor w swoim wykładzie zwłaszcza w tych kwestjach, które ci uczeni najlepiej dotychczas objaśnili. Również własne studja archiwalne zużytkował autor, którego oryginalną koncepcją jest ciekawy rozdział „O polityce społecznej i ideach socjalistycznych tej doby". W pracy całej widoczne jest staranne opracowanie i po części oryginalne przerobienie materjału, zaczerpniętego z rzeczywiście najznakomitszych dotychczas dzieł francuskich i obcych. Praca przeznaczona dla czytelników wykształceńszych posiada wykład jasny i treściwy, ulepszony jeszcze przez rozłożenie treści na liczne rozdziały, nie obarczane wcale tak licznymi w pracach niemieckich przypiskami. Na końcu przydałby się indeks osób i rzeczy.

B. J.

Wincenty Lutosławski: Losy jaźni u Słowackiego. Lwów 1910 odbitka z „Pamiętnika Literackiego".

Oto jedna z bogatego plonu broszur, jakie powstały z racji jubileuszu Słowackiego, i to jedna z lepszych. Autor — głęboki znawca tych problemów, z którymi porał się Słowacki w ostatniej epoce życia, daje zwięzłe zebranie i streszczenie poglądów kosmogonicznych twórcy Genesis z Ducha, listu do Remb., S. Zborowskiego i Króla-Ducha. Głębokie zżycie się z duchem i dziełami poety pozwala autorowi malować ten obraz nieomal jego słowami. Kreśli więc dzieje ducha-jaźni od momentu „stworzenia widzialności" poprzez całą „drabinę Jakubową żywota" — do dnia rajskiego, do stworzenia człowieka. Podkreśla różnicę między duchami globowymi a miesięcznymi, znaczenie ofiary w pracy duchów rozwojowej, tłómaczy istotę grzechu pierworodnego — według Słowackiego polegającą na zrzeczeniu się daru słoneczności, niepokalaności zmysłowej i utracie prawa tworzenia jednostki — jedynie przez ściślejszy związek z Bogiem. Z tego grzechu widoczne, gdzie leży ekspijacja, kędy prowadzi droga do „Jezuralem słonecznej" — mianowicie przez wypracowanie w sobie promiennej czystości. Dokona się to przez ekstatycznie siostrzanie czystą pracę co we wcieleniach Króla-Ducha dobrze ukazuje Lutosławskí. Podkreślam parę nowych idei, jakie w literaturę o Sł. wnosi ta broszura: 1) wskazanie ciekawych poglądów Sł. na wieczność ciała, 2) wytłumaczenie pogańskich bóstw i ich walki z chrześcijaństwem za Mieszka I, — jako jaźni niższych, czerpiących swą moc z wiary wyznawców 3) zwrócenie uwagi na pojmowanie polskości u Słow. jako pewnego stanu doskonałości w jaźni. Stroną ujemną broszury jest że jest szkicem, że daje surowice materjału, daje cytaty, ale o ich głębsze powiązanie, obrobienie nie dba. W każdym razie korzyść przyniesie czytelnikowi rzetelną.

Step.

NOTATKI.

Z Kijowa. Zorganizowało się tu „Towarzystwo opieki nad pomnikami historji i sztuki". Na prezesa obrano biskupa czygiryńskiego, Pawła, zarząd zaś nowego Towarzystwa składają profesorowie uniwersytetu i akademji duchownej, co dostatecznie określa charakter czysto rosyjski instytucji. Działalność swą Towarzystwo rozpoczyna akcją przeciwko projektowanej przebudowie zamku w miasteczku Klewań, na Wołyniu, zbudowanego przez księcia Michała Czartoryskiego w r. 1475.

Konkurs na pomnik dla poety ukraińskiego, Tarasa Szewczenki, dał rezultat wielce ujemny. Z przysłanych 60 projektów w modelach i rysunkach jury konkursu ani jednego nie uznała za godnego nagrody, większość zaś wprost zadziwiała ubóstwem myśli twórczej. Zdecydowano się przedłużyć konkurs jeszcze na rok jeden. *P. E.*

Z „Drukarni Polskiej". Nakładem „Kurjera Lwowskiego.